

Każdy, kto przyjeżdża tu po raz pierwszy,
musi się zakochać...

SEKRET HELENY

Autorka serii **SIEDEM SIÓSTR**

LUCINDA RILEY

ALBATROS

Dom pojawia się w polu widzenia, gdy manewruję, omijając niebezpieczne wyboje – niezasypane od dziesięciu lat i jeszcze głębsze niż wtedy. Telepię się jeszcze kawałek, po czym zatrzymuję auto i patrzę na Pandorę, myśląc, że właściwie wcale nie jest ładna – nie to co wymuskane wakacyjne domy, których wspaniałe zdjęcia można zobaczyć na stronach internetowych z ekskluzywnymi posiadłościami. Jest solidna, praktyczna i niemal surowa, przynajmniej od tyłu, dokładnie taka, jak wyobrażałem sobie jej poprzedniego mieszkańca. Zbudowana z jasnego miejscowego kamienia, kanciasta jak te domki z klocków, które ustawiałem w dzieciństwie, wznosi się pośród wapiennych wzgórz, gdzie na zboczach jak okiem sięgnąć rosną delikatne, wypuszczające pędy winorośle. Staram się pogodzić tę rzeczywistość z wirtualną fotką w mojej głowie – zrobioną dziesięć lat temu – i dochodzę do wniosku, że pamięć mi służy.

Parkuję auto i idę wzdłuż solidnych murów na front domu, gdzie jest taras, który przenosi Pandorę z poziomu zwyczajności do spektakularnej pierwszej ligi. Podchodzę do balustrady, za którą teren łagodnie opada, i mam przed sobą pejzaż winnic i gajów oliwnych oraz pobielone zabudowania gospodarcze. W dali linia migotliwej akwamaryny oddziela niebo i ziemię.

Zachodzące słońce osiąga klasę mistrzowską, żółte promienie wsączają się w błękit i przemieniają go w umbrę. To ciekawe, naprawdę, bo zawsze myślałem, że połączenie koloru żółtego i niebieskiego daje zielony. Spoglądam w prawo, na ogród poniżej tarasu. Rabatki, które moja matka starannie obsadziła dziesięć lat temu, z braku troski i wody zostały pochłonięte przez suchą ziemię i brzydkie kolczaste chwasty – gatunek nieznany.

Ale tam, pośrodku ogrodu, z wciąż przymocowanym hamakiem, w którym lubiła leżeć mama – sznurki wyglądają jak stare postrzępione spaghetti – rośnie drzewo oliwne. Wtedy nazywałem je „Starym”, ponieważ wielu dorosłych mówiło, że drzewo jest sędziwe. Wszystko wokół niego umarło i zbutwiało, ale ono urosło i nabrało majestatu, może kradnąc siłę życiową botanicznym sąsiadom, od stuleci zdecydowane przeżyć.

Jest całkiem ładne. Stanowi metaforyczny triumf nad przeciwnościami losu i każdy milimetr sękatego pnia jest dumnym świadectwem jego zmagania.

Zastanawiam się, dlaczego ludzie nienawidzą pojawiającej się na ich ciele mapy życia, podczas gdy drzewa, takie jak to, albo spłowiałe obrazy, albo niemal zrujnowane, niezamieszkane budynki są sławione właśnie z powodu starości.

Snując takie myśli, odwracam się w stronę domu i z ulgą widzę, że przynajmniej z zewnątrz Pandora przetrwała bez szwanku okres zaniedbania. Przy głównym wejściu wydaję z kieszeni żelazny klucz i otwieram drzwi. Gdy idę przez ciemne pokoje, odgródzone od światła zamkniętymi okiennicami, zdaję sobie sprawę, że czuję się emocjonalnie odrętwiały, i chyba to dobrze. Nie mam odwagi odczuwać, bo tutaj – może bardziej niż gdziekolwiek indziej – znajduje się jej duch...

Pół godziny później, po tym, jak otworzyłem okiennice na dole i ściągnąłem pokrowce z mebli w salonie, stoję wśród drobinek kurzu wirujących w blasku zachodzącego słońca. Przypominam sobie, że wszystko wydawało się stare, gdy ujrzałem ten

dom po raz pierwszy. Zastanawiam się, patrząc na zapadnięte fotele i wytartą kanapę, czy – tak jak z drzewem oliwnym – po przekroczeniu pewnego punktu stare jest po prostu stare i w widoczny sposób już bardziej się nie starzeje, jak siwowłósi dziadkowie w oczach małego dziecka.

Oczywiście, jedynym w tym pokoju, co zmieniło się nie do poznania, jestem ja. My, ludzie, zdecydowaną większość naszej fizycznej i mentalnej ewolucji kończymy w czasie pierwszych kilkunastu lat pobytu na planecie Ziemia – niemowlę w okamgnieniu przemienia się w dorosłą osobę. Później przez resztę życia wyglądamy, w każdym razie na pozór, z grubsza tak samo, po prostu stając się coraz słabszymi i mniej atrakcyjnymi wersjami naszego młodszego ja, gdy geny i grawitacja dają nam popalić.

Co do strony emocjonalnej i intelektualnej... cóż, muszę wierzyć, że to premie wynagradzające powolne niszczenie się naszego zewnętrznego opakowania. Powrót do Pandory wyraźnie mi to pokazuje. Gdy wracam do holu, podśmiewam się z „Alexa”, jakim kiedyś byłem. I wzdrygam się na myśl o moim byłym ja – trzynastoletnim i jeśli spojrzeć z perspektywy czasu, pochłoniętym sobą, nieznosnym wrzodem na tyłku.

Otwieram drzwi do „Schowka na Szczotki” – tak pieszczotliwie nazywałem pokój, w którym mieszkałem podczas tego długiego, gorącego lata dziesięć lat temu. Zapalam światło i stwierdzam, że nazwa była całkiem trafna i że przestrzeń jakby skurczyła się jeszcze bardziej. Wciskam do środka moją wcale nie małą osobę (mam metr osiemdziesiąt dwa) i nasuwa mi się pytanie, czy gdybym zamknął drzwi i się położył, to stopy wystawałyby mi przez maleńkie okno, jak Alicji w jej Krainie Czarów.

Patrzę na półki po obu stronach klaustrofobicznego pokoju i widzę książki, które kiedyś starannie ustawiłem w kolejności alfabetycznej. Odruchowo wyciągam jedną – *Elfy i ich dary* Rudyarda Kiplinga – i ją wertuję, żeby znaleźć słynny poemat. Czytam wersy *Jeżeli* – słowa mądrości napisane przez ojca do syna – i

łzy wzbierają mi w oczach, gdy myślę o niedojrzałym chłopcu, jakim wtedy byłem, rozpaczliwie pragnącym znaleźć ojca. Później, kiedy go znalazłem, zrozumiałem, że przecież jednego już mam.

Odkładając Rudyarda na półkę, dostrzegam obok niewielki notes w sztywnej oprawie. Uświadamiam sobie, że to pamiętnik, który dostałem od matki na Boże Narodzenie, kilka miesięcy przed moim pierwszym przyjazdem do Pandory. Jak wszystkie nastolatki, byłem przekonany, że moje poglądy i uczucia są wyjątkowe i odkrywcz; myśli, które nikomu przede mną nigdy nie przyszły do głowy.

Ze smutkiem kręcę głową i wzdycham jak starzec, zdegradowany własną naiwnością. Zostawiłem dziennik, gdy wyjeżdżaliśmy do Anglii po tamtym długim lecie w Pandorze. I oto jest tutaj, dziesięć lat później, leżący na moich znacznie większych teraz dłoniach. Wspomnienia z ostatnich miesięcy dzieciństwa, zanim życie wciągnęło mnie w dorosłość.

Zabieram go i idę na górę. Błąkam się po mrocznych, dusznych korytarzach, niepewny, którą sypialnię chcę zająć na czas obecnego pobytu. Robię głęboki wdech i idę w stronę jej pokoju. Zbieram się na odwagę i otwieram drzwi. Może wyobraźnia płata mi figle – musi tak być, po dziesięciu latach nieobecności – ale jestem przekonany, że moje zmysły atakuje zapach używanych przez nią perfum...

Zamykam drzwi, jeszcze nie będąc w stanie zmierzyć się ze wspomnieniami, które tkwią w tych sypialniach – każda z nich jest swego rodzaju puszką Pandory – i wracam na dół. Zapadła noc i świat za oknami jest już czarny jak smoła. Spoglądam na zegarek, dodaję dwie godziny różnicy czasu i uświadamiam sobie, że tu jest prawie dziewięta – pusty żołądek burczy, przypominając mi o kolacji.

Wynoszę z samochodu zapasy, które kupiłem w pobliskiej wiosce, i układam je w spiżarni, po czym zabieram trochę chle-

ba, fety i bardzo ciepłego piwa na taras. Siedząc tam w ciszy, którą mąci tylko dziwnie senna cykada, sączę piwo i dumam, czy przybycie tu dwa dni wcześniej niż inni rzeczywiście było dobrym pomysłem. Zapatrzenie we własny pępek jest czymś, co mam opanowane do perfekcji – do tego stopnia, że ostatnio ktoś zaproponował mi, bym robił to za pieniądze. Przynajmniej ta myśl skłania mnie do uśmiechu.

Chcąc oderwać się od obecnej sytuacji, otwieram dziennik i czytam wpis na pierwszej stronie.

*Kochany Alexie, Wesółych Świąt! Staraj się
prowadzić regularne zapiski. Mogą się okazać ciekawą
lekturą, kiedy będziesz starszy.
Z wyrazami miłości, M XXX*

– Cóż, mam, miejmy nadzieję, że miałaś rację.

Z bładym uśmiechem przerzucam kartki napuszonej prozy i docieram do pierwszych dni lipca. Zaczynam czytać w świetle słabej żarówki, która wisi na pergoli.

Lipiec 2006



Przyjazdy

DZIENNIK ALEXA

10 lipca 2006

Mam idealnie okrągłą twarz. Jestem pewien, że można by narysować ją za pomocą cyrkla i tylko gdzieś gdzieś okrąg nie pokryłby się z jej zarysem. Nienawidzę swojej facjaty.

Wewnątrz okręgu mieszczą się pyzate, rumiane jak jabłka policzki. Kiedy byłem młodszy, dorośli chwyтали je w palce i ściskali, zapominając, że policzki mocno się różnią od jabłek. Jabłka są nieożywione. Są twarde i nie czują bólu. Jeśli są posiniaczone, to tylko z wierzchu.

Warto zaznaczyć, że mam ładne oczy. Zmieniają kolor. Mama mówi, że kiedy jestem podkręcony, pełen energii, są intensywnie zielone. Kiedy zżera mnie stres, zyskują barwę Morza Północnego. Osobiście uważam, że są raczej szare, ale za to całkiem duże, w kształcie pestek brzoskwini, i dobrze do nich pasują moje brwi, ciemniejsze niż włosy, które są po dziewczynsku jasne i proste jak druty.

Właśnie stoję przed lustrem. Oczy mnie pieką od łez, bo gdy nie patrzę na swoją twarz, w wyobraźni mogę być każdym, kim tylko zechcę. Światło w maleńkim pokładowym kiblu jest ostre i jaśniej jak aureola nad moją głową. Lustra w samolotach są koszmarnie: człowiek wygląda w nich jak świeżo wykopany nieboszczyk, który spoczywał w ziemi przez dwa tysiące lat.

Pod koszulką wałek ciała wylewa mi się ze spodenek. Chwytam go w ręce i formuję znośną impresję pustyni Gobi. Tworzę wydmy z małymi zagłębieniami, gdzie mogłyby wyrosnąć palmy, załączek oazy.

Później dokładnie myję ręce.

Naprawdę lubię swoje ręce, bo nie dołączyły do marszu w kierunku Krainy Spaślaków, gdzie obecnie postanowiła żyć cała reszta mojego ciała. Mama mówi, że to szczenięcy tłuszczyk, że guzik hormonalny z napisem „rośnij wszecz” zaskoczył jako pierwszy. Niestety, ten od „rośnij wzwyż” najwyraźniej się zepsuł. I raczej nie wygląda na to, żeby już zdążył się naprawić.

Poza tym, ile widziałem tłustych szczeniaków? W większości są kształtne, wręcz wychudzone z ekscytacji.

Może potrzeba mi trochę ekscytacji.

A oto dobra wiadomość: w samolocie człowiek zyskuje poczucie nieważkości, nawet gdy jest grubasem. I w samolocie siedzi wielu ludzi grubszych ode mnie; wiem, bo patrzyłem. Jeśli ja jestem Gobi, to facet z sąsiedniego fotela jest Saharą. Jego przedramiona zajmują całe podłokietniki, skóra, mięśnie i tłuszcz wlewają się, niczym mutujące wirusy, w moją przestrzeń osobistą. To mnie naprawdę wkurza. Ja zachowuję moje ciało dla siebie, w przeznaczonej dla mnie przestrzeni, nawet jeśli w konsekwencji cierpną mi ręce i nogi.

Ilekoć jestem w samolocie, z jakiegoś powodu myślę o umieraniu. Szczerze mówiąc, myślę o umieraniu, gdziekolwiek jestem. Może bycie martwym to trochę jak nieważkość, którą czuje się tu, wewnątrz tej metalowej tuby. Moja młodsza siostra zapytała, czy była martwa ostatnim razem, gdy lecieliśmy, bo ktoś jej powiedział, że dziadek poszedł do nieba i siedzi na obłoku. Myślała, że do niego dołączyła, gdy przelatywaliśmy przez chmurę.

Dlaczego dorośli mówią dzieciom takie bzdury? To tylko prowadzi do kłopotów. Sam nigdy w coś takiego nie wierzyłem.

Moja mama dawno temu zrezygnowała z wciskania mi kitu.

Kocha mnie, nawet jeśli przez ostatnie kilka miesięcy zmieniłem się w Spaślaka. I obiecuje, że pewnego dnia będę musiał przykucnąć, żeby zobaczyć swoją twarz w takich zachlapanych wodą lustrach jak to. Najwyraźniej pochodzę z rodziny wysokich mężczyzn. Nie, że to mnie pociesza. Czytałem o genach przeskakujących pokolenia i znając swojego pecha, będę pierwszym od setek lat tłustym karłem w rodzie Beaumontów.

Poza tym mama zapomina, że ignoruje drugi zestaw genów, który pomógł mnie stworzyć...

Jestem zdecydowany porozmawiać z nią o tym w czasie tych wakacji. Nieważne, ile razy będzie się wykręcać i niby przypadkiem zmieniać temat. W końcu postawię na swoim. Bocian w roli ojca już mnie nie satysfakcjonuje.

Muszę wiedzieć.

Wszyscy mówią, że jestem do niej podobny. Ale dlaczego mieliby nie mówić? Raczej nie mogą mnie przyrównywać do niezidentyfikowanego plemnika.

W gruncie rzeczy to, że nie wiem, kto jest moim ojcem, może podsycać iluzję wyjątkowości, którymi się karmię. Co jest bardzo niezdrowe, szczególnie w przypadku dziecka takiego jak ja, o ile nadal jestem dzieckiem. Albo czy kiedykolwiek byłem, w co oświadczyć w wątpliwości.

W tej chwili, gdy moje ciało mknie nad środkową Europą, moim ojcem może być każdy, kogo akurat sobie zacznę wyobrażać, każdy, kto akurat w danym momencie mi odpowiada. Na przykład: może grozi nam katastrofa, a kapitan ma tylko jeden zapasowy spadochron. Mogę mu się przedstawić jako jego syn i wtedy na pewno mnie ocali, prawda?

Po namyśle dochodzę do wniosku, że może lepiej, że nie wiem. Moje komórki macierzyste mogą pochodzić od kogoś z Dalekiego Wschodu i w takim wypadku musiałbym nauczyć się mandaryńskiego, żeby pogadać z ojcem, a mandaryński jest megatrudny do opanowania.

Czasami chciałbym, żeby mama wyglądała bardziej jak inne matki. To znaczy nie jest kimś w stylu Kate Moss, bo ma swoje lata. Ale to żenada, gdy chłopaki z klasy i nauczyciele, i wszyscy faceci, którzy przychodzą do naszego domu, patrzą na nią w ten sposób. Wszyscy ją kochają, bo jest miła i zabawna, umie jednocześnie gotować i tańczyć. Niekiedy mam wrażenie, że przypadający dla mnie kawałek mamy jest za mały, a wolałbym nie dzielić się nią z innymi.

Bo ja kocham ją najbardziej.

Była panną, kiedy mnie urodziła. Sto lat temu przyszedłbym na świat w przytułku i prawdopodobnie kilka miesięcy później oboje wyzionęlibyśmy ducha na suchoty. Pochowano by nas w beziemiennej zbiorowej mogile i nasze szkielety leżałyby razem przez wieczność.

Często się zastanawiam, czy krępuje ją żywe przypomnienie o jej niemoralności, czyli ja. Czy dlatego wysyła mnie do szkoły z internatem?

Mówię „niemoralność” do lustra. Lubię słowa. Kolekcjonuję je, jak moi kumple z klasy kolekcjonują karty baseballowe albo dziewczyny, zależnie od poziomu dojrzałości. Lubię je wydobywać i umieszczać w zdaniu, żeby wyrazić myśl jak najprecyzyjniej. Może pewnego dnia zabawię się nimi profesjonalnie. Spójrzmy prawdzie w oczy: nie będę grać dla Manchester United, nie z taką budową ciała.

Ktoś łomocze do drzwi. Straciłem poczucie czasu, jak zwykle. Spoglądam na zegarek i stwierdzam, że spędziłem tu ponad dwadzieścia minut. Teraz będę musiał strawić czoło kolejce pasażerów, rozpaczliwie pragnących się odlać.

Jeszcze raz zerkam w lustro – ostatni rzut okiem na Spaślaka. Odwracam oczy, robię głęboki wdech i wychodzę z kibla jako Brad Pitt.

α

1

- Zgubiliśmy się. Muszę zjechać na bok.
- Chryste, mamó! Ciemno choć oko wykol, a my wisimy na zboczu góry. Nie ma gdzie zjechać.
- Przestań panikować, kochanie. Znajdę jakieś bezpieczne miejsce.
- Bezpieczne? Ha! Gdybym wiedział, zabrałbym raki i czekan.
- Tam jest zatoczka. – Helena przekręciła kierownicę wypożyczonego samochodu, niepewnie pokonała zakręt serpentyny i wcisnęła hamulec. Zerknęła na syna, który palcami zasłaniał oczy, i położyła rękę na jego kolanie. – Możesz już patrzeć. – Spojrzała przez okno w głąb stromej doliny i daleko w dole zobaczyła mrugające światła wybrzeża. – Takie piękne – szepnęła.
- Nie, mamó, to nie jest piękne. Piękne jest wtedy, gdy nie jesteśmy zagubieni na wygizdowie w obcym kraju i nie dzieli nas kilka metrów od runięcia w przepaść, na spotkanie z pewną śmiercią. Nie słyszeli tu o barierach zabezpieczających?
- Helena, nie reagując na jego słowa, sięgnęła nad głowę, żeby zapalić wewnętrzne światło.
- Podaj mi mapę, skarbie.
- Alex podał jej mapę i Helena zaczęła się w nią wpatrywać.
- Trzymasz ją do góry nogami, mamó.

– Dobrze, dobrze. – Przełożyła mapę. – Immy wciąż śpi?

Alex odwrócił się, żeby zerknąć na pięcioletnią siostrzyczkę, śpiącą na tylnym siedzeniu, z Jagniątkiem, pluszową owieczką, którą miała wsuniętą pod pachę.

– Śpi. I dobrze. Ta podróż może śmiertelnie ją wystraszyć. Jeśli zobaczy, gdzie teraz jesteśmy, nigdy w życiu nie da się namówić na jazdę kolejką górską w parku Alton Towers.

– Zgadza się, już wiem, co zrobiłam. Musimy zjechać ze wzgórza...

– Z góry – poprawił ją Alex.

– ...skręcić w lewo przy znaku na Kathikas i dalej jechać prosto. Trzymaj. – Helena podała mu mapę i wrzuciła wsteczny, jej zdaniem.

Citroen szarpnął do przodu.

– MAMO! Chryste!

– Wybacz. – Helena nieelegancko zawróciła na trzy i ruszyli z powrotem.

– Myślałem, że wiesz, gdzie to jest – mruknął Alex.

– Skarbie, miałam tylko kilka lat więcej niż ty, kiedy byłam tu ostatnim razem. Do twojej informacji, prawie dwadzieścia cztery lata temu. Ale z pewnością rozpoznam to miejsce, gdy dojedziemy do wioski.

– O ile w ogóle dojedziemy.

– Och, przestań marudzić! Nie masz w sobie ani krzty ducha przygody? – Helena odetchnęła z ulgą, gdy zobaczyła drogowskaz z napisem „Kathikas”. Skręciła. – Nie pożałujesz, jak już będziemy na miejscu, zobaczysz.

– W pobliżu nie ma nawet plaży. I nienawidzę oliwek. I Chandlerów. Rupes to ku...

– Alex, wystarczy! Jeśli nie masz do powiedzenia niczego pozytywnego, to po prostu się ucisz i daj mi prowadzić.

Alex, naburmuszony, pogrążył się w milczeniu, podczas gdy Helena zachęcała auto, by wjechało na stromiznę. Jaka szkoda,

myślała, że samolot miał opóźnienie i że wylądowali w Pafos już po zachodzie słońca. Zanim przeszli przez odprawę i znaleźli wynajęty samochód, zrobiło się zupełnie ciemno. Cieszyła się na myśl o podróży w góry, o odświeżeniu barwnych wspomnień z dzieciństwa i o spojrzeniu na nie oczami swoich dzieci.

Ale życie często nie dorasta do naszych oczekiwań, pomyślała, zwłaszcza gdy chodzi o ważne wspomnienia. I była świadoma, że lato, które jako piętnastolatka spędziła w domu swojego ojca chrzestnego, zostało oprószone magicznym pyłem historii.

Jakkolwiek było to niedorzeczne, pragnęła, żeby Pandora okazała się taka idealna, jak ją zapamiętała. Logicznie rzecz biorąc, wiedziała, że to niemożliwe, że ponowne jej ujście może być niczym spotkanie po dwudziestu czterech latach z pierwszą miłością: zamrożoną w wyobraźni, promieniującą siłą i pięknem młodości, ale tak naprawdę siwiejącą i coraz bliższą rozpadu.

I wiedziała, że może też stać się inaczej...

Czy on wciąż tam jest?

Zacisnęła ręce na kierownicy i zdecydowanie przepędziła tę myśl.

Dom zwany Pandorą, który wówczas uważała za rezydencję, z pewnością będzie mniejszy, niż to utrwaliło się w jej wspomnieniach. Antyczne meble, sprowadzone z Anglii przez Angusa, jej ojca chrzestnego, w czasie gdy niepodzielnie panował nad setkami żołnierzy Armii Brytyjskiej, wciąż stacjonującymi na Cyprze, wydawały się zbyt wykwintne i eleganckie, żeby ich dotykać. Kryte bladoniebieskim adamaszkiem sofy w zaciemnionym salonie – nie uchylano okiennic, żeby chronić wnętrze przed oślepiającym blaskiem słońca – georgiańskie biurko w gabinecie, gdzie Angus codziennie rano otwierał listy smukłym miniaturowym mieczykiem, wielki mahoniowy stół w jadalni, z gładkim blatem przypominającym lodowisko... wszystko to miała w pamięci.

Nikt nie mieszkał w Pandorze od trzech lat, kiedy to Angus wrócił do Anglii z powodu złego stanu zdrowia. Z uporem dowodził, że opieka medyczna na Cyprze jest w każdym calu tak dobra jak w ojczyźnie, jeśli nie lepsza, ale w końcu sam musiał przyznać, że niesprawne nogi i ciągle wyprawy do szpitala odległego o czterdzieści pięć minut jazdy nie czynią życia w górskiej wiosce szczególnie wygodnym.

Tak oto zrezygnował z walki o pozostanie w umiłowanej Pandorze i pół roku później zmarł, pokonany przez zapalenie płuc i zgryzotę. Słabe już ciało, które znaczną część ze swoich siedemdziesięciu ośmiu lat spędziło w klimacie subtropikalnym, wydawało się nieskłonne przywyknąć do życia w bezustannej wilgotnej szarości szkockiego przedmieścia.

Cały majątek – łącznie z Pandorą – Angus zostawił Helenie, swojej chrześnicy.

Na wiadomość o jego śmierci Helena się rozplakała – również z poczucia winy, że częściej nie odwiedzała go w domu opieki.

W jej myśli wdarł się dobiegający z głębin torby dzwonek komórki.

– Skarbie, odbierzesz? – zwróciła się do Alexa. – Pewnie tata chce spytać, czy już jesteśmy na miejscu.

Alex zaczął przetrząsać torbę matki, jak zwykle bez powodzenia. Wyłowił komórkę chwilę po tym, jak przestała dzwonić, i sprawdził nieodebrane połączenie.

– Tata. Mam dryndnąć?

– Nie. Zadzwonimy, gdy dojedziemy.

– Jeśli dojedziemy.

– Oczywiście, że dojedziemy. Już rozpoznaję okolicę. Jeszcze nie więcej niż dziesięć minut.

– Czy Tawerna Hari była tu za twoich czasów? – zapytał Alex, kiedy minęli jarzącą się neonową palmę przed restauracją pełną automatów i białych plastikowych krzeseł.

– Nie, ale to nowa droga, dobre miejsce dla handlu i gastronomii. Wtedy do wioski prowadziło coś w rodzaju wyboistego szlaku.

– Mają tam Sky TV. Będziemy mogli wyskoczyć na jeden wieczór? – zapytał z nadzieją.

– Może. – Jej wizja ciepłych wieczorów na cudownym tarasie Pandory z widokiem na gaje oliwne, gdy popijało się miejscowe wino i jadło figi zrywane prosto z gałęzi, nie obejmowała ani neonowych palm, ani wysiadzania przed telewizorem.

– Mamo, jak bardzo prymitywny jest dom, do którego jedziemy? To znaczy jest tam prąd?

– Oczywiście, głuptasie. – Helena modliła się w duchu, żeby kobieta, która miała klucze, włączyła elektryczność. – Patrz, już zaczyna się wioska. Za kilka minut będziemy na miejscu.

– Pewnie mógłbym jeździć na rowerze do tego baru – mruknął Alex. – Gdybym miał rower.

– Prawie codziennie jeździłam z domu do wioski.

– Na welocypedzie?

– Bardzo zabawne! To była zwyczajna staromodna damka z trzema biegami i koszykiem z przodu. – Helena uśmiechnęła się na to wspomnienie. – Odbierałam chleb z piekarni.

– Jak ten rower, na którym wiedźma przejeżdża pod oknem Dorotki w *Czarnoksiężniku z Oz*?

– Właśnie. A teraz szta, chcę się skupić. Z powodu nowej drogi podjeżdżamy od drugiej strony i muszę się zorientować.

Helena zobaczyła światła wioski. Zwolniła, gdy droga zaczęła się zwężać i wapienny grys zachrząścił pod oponami. Pojawiły się budynki z kremowego cypryjskiego kamienia, niebawem tworząc nieprzerwany mur po obu stronach drogi.

– Patrz, przed nami jest kościół. – Helena wskazała budynek, który stanowił serce małej społeczności Kathikas. Na dziedzińcu siedziały na ławce, w nonszalanckich pozach, dwie ciemnookie dziewczyny, przyciągając uwagę kilku kręcących się wokół nich wyrostków. – To centrum wioski.

– Kultowe miejsce spotkań – zakpił Alex.

– Podobno kilka lat temu otwarto tu dwie naprawdę niezłe tawerny. I spójrz, jest sklep. Powiększyli go, adaptując sąsiedni dom. Mają tam absolutnie wszystko, czego dusza zapagnie.

– Wpadnę po najnowszą płytę All-American Rejects, dobrze?

– Alex! – Helena straciła cierpliwość. – Wiem, że nie chcesz tu być, ale na litość boską, jeszcze nie widziałeś Pandory. Przyjmij jej szansę, dla mnie, jeśli nie dla siebie.

– W porządku. Wybacz, mamu, przepraszam.

– Wioska była bardzo malownicza i najwyraźniej niewiele się zmieniła – powiedziała z ulgą Helena. – Jutro możemy ją zwiedzić.

– Wyjeżdżamy z wioski, mamu – zauważył nerwowo Alex.

– Tak. Teraz tego nie widać, ale po obu stronach rozciągają się hektary winnic. Tutejsze wino było takie dobre, że faraonowie sprowadzali je do Egiptu. Tu skręcamy, jestem pewna. Trzymaj się mocno. Ta droga jest wyboista.

Na zwirowej drodze, która wiła się przez winnice, Helena wrzuciła jedynkę i włączyła długie światła, żeby omijać zdradliwe wyboje.

– Codziennie jeździłaś tędy na rowerze? – zapytał ze zdumieniem Alex. – Rany! To cud, że nie łądownałaś w winoroślach.

– Czasami się zdarzało, ale można się nauczyć, gdzie są najgorsze miejsca.

Helena dziwnie podnosiła na duchu to, że droga jest taka wyboista, jak ją zapamiętała. Bała się, że zobaczy asfalt.

– Prawie jesteśmy, mamu? – Z tyłu dobiegł senny głos. – Ale podskakujemy.

– Tak, skarbie, jesteśmy. Jeszcze kilka sekund, dosłownie.

Tak, jesteśmy...

Przeniknęła ją mieszanina podniecenia i niepokoju, gdy skręcili w węższą drogę i pojawiła się przed nimi ciemna, masyw-

na sylwetka Pandory. Helena przejechała pomiędzy skrzydłami rdzewiejącej bramy, otwartymi przez wszystkie te lata i z pewnością teraz unieruchomionymi na amen.

Zatrzymała samochód i wyłączyła silnik.

– Jesteśmy.

Żadne z dzieci się nie odezwało. Odwróciła głowę i zobaczyła, że Immy znówu śpi. Alex, na siedzeniu obok, patrzył prosto przed siebie.

– Zostawimy Immy i poszukamy klucza – powiedziała Helena.

Ledwie otworzyła drzwi auta, uderzyła w nią fala ciepłego nocnego powietrza. Wysiadła, wyprostowała się i wciągnęła do płuc na wpół pamiętany zapach oliwek, winogron i kurzu – kawał świata od asfaltowych dróg i neonowych palm. Węch jest najpotężniejszym ze wszystkich zmysłów, stwierdziła w duchu. Przywołuje szczególną chwilę, atmosferę, z największą dokładnością.

Powstrzymała się od zapytania Alexa, co myśli o domu, bo jeszcze nie było co myśleć, a nie zniosłaby krytyki. Stali w głębokiej ciemności na tyłach Pandory, okiennice były zamknięte i zaryglowane jak w garnizonie.

– Okropnie ciemno, mamo.

– Zapalę światła. Angelina mówiła, że zostawi otwarte tylne drzwi.

Sięgnęła do wnętrza auta i włączyła reflektory. Przeszła po zwirowej ścieżce na tył domu, z Alexem depczącym jej po piętach. Mosiężna klamka nie stawiała oporu i Helena pchnęła drzwi, po omacku szukając włącznika. Znalazła go i ze wstrzymanym oddechem nacisnęła. Światło zalało tylną sień.

– Chwała Bogu! – mruknęła, otwierając następne drzwi i pstrykając włącznikiem. – To kuchnia.

– Tak, widzę. – Alex ruszył w głąb wielkiego dusznego pomieszczenia, w którym był zlewozmywak, starodawny piec, duży drewniany stół i kredens na całą ścianę. – Dość prymitywna.

– Angus rzadko tu zaglądał. Gospośia zajmowała się gotowaniem. Nie przypuszczam, żeby sam przyszykował sobie choć jeden posiłek w całym swoim życiu. To było stanowisko pracy, a nie strefa komfortu jak dzisiejsze kuchnie.

– To gdzie będziemy jedli?

– Na zewnątrz, na tarasie, oczywiście. Tu wszyscy tak robią.

Odkręciła kurek. Spłynęła strużka wody, która po chwili przemieniła się w strugę.

– Nie ma lodówki – zauważył Alex.

– Jest w spiżarni. Angus często tu bywał, a że do Pafos jest daleko, zainstalował też system chłodzący w samej spiżarni. I nie, zanim zapytasz, w tamtych czasach nie było tu zamrażarki. Drzwi po twojej lewej stronie. Sprawdzisz, czy lodówka wciąż tam jest? Angelina powiedziała, że zostawi nam trochę mleka i chleba.

– Dobrze.

Alex odszedł, a Helena, zapalając po drodze światła, trafiła do głównego holu od frontu. Jej kroki brzmiały głośno na ułożonej w szachownicę wytartej kamiennej posadzce. Spojrzała na schody z masywną giętą balustradą, wykonaną przez wprawnych rzemieślników z drewna dębowego, które Angus sprowadził z Anglii. Za jej plecami stał, niczym strażnik, wysoki zegar szafkowy; teraz już nie tykał.

Czas się tu zatrzymał, pomyślała, otwierając drzwi do salonu.

Niebieskie adamaszkowe sofy były okryte pokrowcami. Ściągnęła jeden i zapadła się w puchową miękkość. Materiał, choć wciąż nieskazitelny i czysty, wydawał się kruchy pod jej palcami, jakby jego istota, nie obecność, została lekko nadwątlona. Wstała i podeszła do jednych z dwojga drzwi balkonowych, które prowadziły na taras. Odsunęła drewniane okiennice chroniące pokój przed słońcem, przekręciła żelazną klamkę i wyszła na zewnątrz.

Alex znalazł ją kilka sekund później, gdy stała oparta o balustradę na skraju tarasu.

– Lodówka charczy, jakby miała poważny atak astmy – zameldował – ale są w niej mleko, jajka i chleb. I na pewno nie zabraknie nam tego. – Pomachał dużym różowym salami. Helena nie odpowiedziała. Staął obok niej. – Ładny widok – rzucił.

– Spektakularny, prawda? – Uśmiechnęła się, zadowolona, że mu się spodobał.

– Te maleńkie światełka to wybrzeże?

– Tak. Rano zobaczysz morze. I gaje oliwne, i winnice schodzące w dolinę, z górami po obu stronach. W ogrodzie rośnie fantastyczne drzewo oliwne, które, jak mówi legenda, ma ponad czterysta lat.

– Stare... jak wszystko tutaj. – Popatrzył w dół, potem w lewo i w prawo. – To taka... odludna okolica, prawda? Nie widzę innych domów.

– Myślałam, że mogli ją zbudować jak wybrzeże, ale na szczęście tak się nie stało. – Spojrzała na syna. – Uściskaj mnie, skarbie. – Objęła go. – Tak się cieszę, że tu jesteś.

– To dobrze. Cieszę się, że się cieszysz. Możemy iść po Immy? Jak się zbudzi, może wpaść w popłoch i gdzieś sobie pójdzie. Poza tym konam z głodu.

– Najpierw chodźmy na górę i znajdziemy dla niej pokój. Później pomożesz mi ją tam zanieść.

Helena ruszyła z powrotem do drzwi, przystając pod obrotową winem pergolą, która w dzień zapewniała przyjemną osłonę przed słońcem. Wciąż stał pod nią długi żeliwny stół, pomalowany białą łuszczącą się farbą, z blatem zasłanym butwiejącymi liśćmi.

– Tutaj jadaliliśmy lunch i kolację. I wszyscy musieliśmy być odpowiednio ubrani. Żadnych opalaczy czy mokrych kąpielówek przy stole Angusa, bez względu na temperaturę – dodała.

– Nie będziesz nas do tego zmuszać, prawda, mamo?

Helena zmierzwiła jego gęste jasne włosy i pocałowała go w czubek głowy.

– Będę uważała się za szczęściarę, jeśli w ogóle uda mi się zapędzić was wszystkich do stołu, niezależnie od tego, co będziecie mieli na sobie. Czasy się zmieniły. – Westchnęła i wyciągnęła do niego rękę. – Chodź, idziemy na górę.

*

Dochodziła północ, gdy Helena wreszcie usiadła na małym balkonie sypialni Angusa. Immy smacznie spała na dużym mahoniowym łóżku. Helena zadecydowała, że jutro, kiedy sprawdzi, gdzie jest przechowywana pościel, przeniesie córkę do drugiego z bliźniaczych pokoi. Alex zajął inną sypialnię i leżał na gołym materacu. Zamknął okiennice dla ochrony przed komarami, chociaż na skutek tego w małym pokoju od razu zrobiło się gorąco jak w saunie. Dzisiaj nie było nawet szeptu wiatru.

Helena sięgnęła do torebki, wyjęła komórkę i zgniecioną paczkę papierosów. Położyła jedno i drugie na udach. Najpierw papieros, postanowiła. Nie chciała, żeby czar już prysnął. Wiedziała, że William, jej mąż, naprawdę nie zechce celowo powiedzieć czegoś, co przywoła ją do rzeczywistości, ale istniało ryzyko, że właśnie tak zrobi. I trudno będzie go winić, ponieważ to całkiem zrozumiałe, że powiadomi ją, czy zjawił się fachowiec od zmywarki, albo spyta, gdzie są worki na śmieci, bo jutro przyjeżdża śmieciarka. William uzna, że będzie zadowolona, słysząc, że w domu wszystko jest pod kontrolą.

I... będzie zadowolona. Tylko nie teraz.

Zapaliła papierosa i zaciągnęła się, myśląc z zadumą, dlaczego palenie w upale śródziemnomorskiej nocy ma w sobie coś tak zmysłowego. Swojego pierwszego dymka puściła ledwie kilka metrów od miejsca, gdzie teraz siedziała. W owym czasie z poczuciem winy rozkoszowała się tym, że robi coś nielegalnego. Dwadzieścia cztery lata później czuła się równie winna, żałując,

że nie może zerwać z nałogiem. Wtedy była za młoda, żeby palić; dziś, mając prawie czterdzistkę, była na to za stara. Ta myśl skłoniła ją do uśmiechu. Jej młodość, zawarta między ostatnim pobytem w tym domu i zapaleniem pierwszego papierosa a dzisiejszym wieczorem.

Wtedy miała przed sobą tyle marzeń, perspektywę dorosłości. W kim się zakocha? Gdzie będzie mieszkać? Jak daleko ją zaprowadzi jej talent? Czy będzie szczęśliwa...?

Teraz znała odpowiedź na większość tych pytań.

– Proszę, niech ten urlop będzie idealny – szepnęła do tego domu, do księżycy i do gwiazd.

Od kilku tygodni nękało ją dziwne przeczucie nieuchronnie nadciągającego nieszczęścia i chociaż bardzo się starała, po prostu nie potrafiła się go pozbyć. Może dlatego, że zbliżały się jej przełomowe urodziny – a może z powodu świadomości, że wraca tutaj...

Już czuła zamykającą się wokół niej magiczną atmosferę Pandory, jakby dom pozbywał się warstw ochronnych i odzierał ją do samej duszy. Zupełnie tak jak poprzednim razem.

Zgasiła na wpół wypalonego papierosa, po czym wzięła komórkę i wybrała numer domu w Anglii. William odebrał po drugim sygnale.

– Cześć, kochanie, to ja – powiedziała.

– Dotarliście bezpiecznie? – Brzmienie jego głosu natychmiast podniosło ją na duchu.

– Tak. Co w domu?

– Świetnie. Tak, świetnie.

– Jak ma się nasz trzyletni rekrut terrorysta? – zapytała z uśmiechem.

– Fred w końcu się uciszył, chwala Bogu. Jest bardzo zły, że wyjechałaś i zostawiłaś go samego ze staruszką.

– Już za nim tęsknię. – Cicho zachichotała. – Ale będąc tu tylko z Alexem i Immy, mam przynajmniej szansę ogarnąć dom przed waszym przyjazdem.

- Nadaje się do zamieszkania?
- Chyba tak, chociaż rano wszystko lepiej zobaczę. Kuchnia jest bardzo prymitywna.
- Skoro mowa o kuchni, był dzisiaj facet od zmywarki.
- Tak?
- Tak. Zreperował ją, ale tyle sobie zażyczył, że równie dobrze moglibyśmy kupić nową.
- No nie... – Helena stłumiła uśmiech. – Worki na śmieci są w drugiej szufladzie od dołu na lewo od zlewu.
- Właśnie chciałem zapytać, gdzie je trzymasz. Jutro przyjeżdżają śmieciarze, jak wiesz. Zadzwoń do mnie rano.
- Zadzwonię. Wielkie buziaki dla Freda i ciebie. Pa, kochanie.
- Pa. Śpij dobrze.

Helena siedziała jeszcze przez jakiś czas, patrząc na cudowne nocne niebo – obsypane miriadami gwiazd, które tutaj świeciły jakby jaśniej – i czując ogarniające ją zmęczenie, które powoli zastępowało adrenalinę. Po cichu weszła do domu i położyła się na łóżku obok Immy. I po raz pierwszy od wielu tygodni zasnęła natychmiast.